

**ELIZA
ORZESZKOWA**

CZTERNASTA
CZĘŚĆ

Eliza Orzeszkowa

Czternasta część

http://www.litres.ru/pages/biblio_book/?art=55843318

Czternasta część:

Аннотация

Opowieść feministyczna. W niewielkim miasteczku wszystkie ścieżki kariery są dla młodych dziewczyn zamknięte. Ich jedynym przeznaczeniem jest wyjść za mąż i rodzić dzieci. Nie wszystkie chcą się z tym pogodzić. Teodora Końcówna ma tylko brata, ale kiedy przyszło do podziału spadku po ojcu, jej przypadła tylko jedna czternasta całego – skromnego zresztą – majątku. Ta czternasta część spadku starczyć może na skromne na wiano. Co jednak, jeśli za mąż wychodzić się nie zamierza? A to tylko jeden z przykładów. Życie Teodory jest długim pasmem niesprawiedliwości, a ich źródłem – karygodny fakt urodzenia się kobietą. Eliza Orzeszkowa jest jedną z najważniejszych pisarek polskich epoki pozytywizmu. Jej utwory cechuje ogromne wyczucie problemów społecznych – w mowie pogrzebowej Józef Kotarbiński nazwał ją wręcz „czującym sercem epoki”.

Содержание

I	4
II	12
Конец ознакомительного фрагмента.	24

Eliza Orzeszkowa

Czternasta część

I

Ulica Kwietna była przed kilkunastu laty jedną z ulic miasta Ongrodu najcichszych i najbardziej wiejski pozór mających. Niebrukowana, piaszczysta w lecie, a błotnista w jesieni, z dwoma szerokimi szlakami trawy w miejscu chodników, jednym końcem dotykała ona obszernej, zielonej łąki, drugim łączyła się z wązkim zaułkiem, którego wysokie kamienice, niby murem granicznym, oddzielały ją od gwarnego i turkocącego środka miasta. Z obu stron ulicy téj stały, w znacznych od siebie odległościach, drewniane jednopiętrowe domy, błękitnawe, lub różowe, sztachetami na zielono pomalowanymi, albo białawymi płotami, od siebie odgradzone. Z-za sztachet, czy płotów, wychylały się rozłożyste gałęzie drzew owocowych i przeświecały zagony, usiewane warzywem. Przez otwarte bramy, lub fórtki, widać było dziedzińce nieobszerne, na-pół wiejskie, bo niebrukowane najczęściéj i trawą zarosłe, szaremi budowlami ostawione.

Na dziedzińcach tych uwijały się i na przechodniów poszczekiwały psy i pieski różnych wielkości i gatunków; nie rzadko, około wschodu i zachodu słońca, krowy przeciągłe

i rozgłosnie ryczały, po dachach przechadzały się poważne, wypasione koty, a we wszystkich prawie oknach zieleniły się i kwitły rośliny, hodowane w wazonach, bujne i pachnące gieranie, laki, balsaminy, hortensyje, rozłożyste, gwiazdowate aurykle.

Przechodząc ulicą tą, w letniej porze i około zachodu słońca szczególnie, dostrzegać można było po drodze drobne, lecz rozmaite rodzajowe obrazki. Tu i owdzie z-za niskich białawych płotów wychylały się wśród zieleni szeregi małych głów dziecięcych, z roztarganym włosom, grubemi rysami, rumianą cerą, z oczyma roziskrzonymi swawolą, z bujnym owocem, albo sporą krajanką sera, przy pulchnych śmiejących się wargach. Tam, u dalekiego końca ulicy, podnosiła się przezroczysta i promieniami słonecznymi przenikniona chmura kurzawy, a wśród niej, jak w różowo złocistym obłoku, sunęła z wolna liczna trzoda krów, wracających z pola, chóralnym ryczeniem napełniając powietrze. Tu hoża gospoia, z donicą w ręku, żwawo przebiegała dziedziniec; tam podstarzały gospodarz, z uśmiechem zadowolenia, podpierał w ogródku swym krzewy i oczyszczał drzewa; ówdzie jeszcze widać było w altanie, utworzonej z prętów, owiniętych kwitnącą fasolą, stół, zastawiony do rodzinnej wieczerzy; gdzieindziej dziecię małe, w koszulce i bosonogie, na schodkach gankowych siedząc, z miłością cisnęło do piersi potulne kocię młode, albo inne, doroślejsze już, wyprawiało po piasku dziedzińca harce i gonitwy, z gorliwym, lecz łagodnym, stróżem domowym, pstrokatym, ogromnym kundlem. W niektórych domkach

dźwięczały za oknami struny fortepianików, starych widocznie, bo ochrypłych, lub zbyt krzykliwych; w jednym zaś z domów, w największym ze wszystkich, długimi niekiedy godzinami, z zawziętością szczególną rzępoliły skrzypce, wygrywające najrozmaitsze z kolei tańce. Na zewnętrznej ścianie domu tego wisiła tablica z napisem: „Edward Robek, metr tańców. Lanciery, imperiale, oraz kaczucze, pas de deux i wszystkie inne tańce salonowe, zgrabność figury i gracyą damską najlepiej wyrabiające”.

Bezpośrednio za przybytkiem tym muzy tańca i gracyi, bo niewielkim tylko warzywnym ogrodem z nim rozdzielony, stał bardzo porządnie wyglądający dom o sześciu oknach, drewniany i jednopiętrowy, tak, jak inne, lecz na wysokim podmurowaniu wzniesiony, biały i z błękitnymi okiennicami. Na strychu domu tego urządzony był pokój, zwany salką, którego małe okienko, bokiem zwrócone do bramy, wychodziło na dziedziniec i tak już wysoko umieszczoném było, że, górując nad otaczającymi budynkami, pozwalało swobodnie toczyć wzrokiem po łące obszerniej, ścielącej się u końca ulicy, po długim pasie ciemnego lasu, zamykającym widnokrąg, po szerokiej, drzewami osadzonej drodze, przerzynającej łąkę, i po wznoszącej się nad tém wszystkiém, niczém nie zakrytej, kopule niebios.

Okienko to codziennie o zachodzie słońca otwartém bywało na oścież, a w oprawie grubych ram jego, nad szeroko wystającym daszkiem gontowym, widać było głowę i ramiona

siedzącą u okienka kobiety. Ramiona te były szczupłe i kształtne, czarną wełnianą suknią po szyję okryte, twarz drobna, zmięta, lecz okrągła i różowa. Wśród tej różowej, wpół-starzej, a wpół-dziecinniej twarzy, wielkie, piękne oczy z dala już świeciły głębokim i świeżym szafirem bławatków.

Siadywała czasem w otwartém okienku celki owjej z igłą, lub drótami w ręku, a wtedy pracowała tak pilnie, i pochylała głowę tak nisko, że, utopiona w zajęciu swém, zdawała się nic nie widzieć i nie słyszeć, a żywe rumieńce, okrywające zwykle okrągłe jej policzki, podnosiły się aż ku figlarnym i młodziutko wyglądającym kędziorkom, osypującym pomarszczone jej czoło.

Wtedy, z głębi salki wylatywały ptaki z gorąco ponsowém pierzem, siadywały na jej ramionach, czepiały się ram okienka, a szczebiot ich, złożony z donośnych, gwizdzących tonów, rozlegał się daleko po dziedzińcu i ulicy. Były to same gile oswojone, wypieszczone snadź i szczęśliwe w niewoli dobrowolnej, bo, jakkolwiek zajęta robotą swą kobieta całemi godzinami nieraz nie zwracała na nie najmniejszej uwagi, żaden z nich nie odleciał nigdy dalej, jak na rosnącą u samej ściany brzozę rozłożystą, która giętkie gałęzie swe zarzucała aż na wystający u dołu okienka daszek gontowy, a w gęstwinie swjej chroniła roje małych świegotliwych wróbli, szeroko i pospolicie wyglądających przy hodowanych w salce ptakach, z papuziami główkami i szkarłatną piersią.

Jakkolwiek jednak szarą i pospolitą była ta drobna rzesza, żyjąca w gałęziach brzozy płaczącej, szczupłe ramię kobiety,

czarnym rękawem okryte, wyciągało się ku niej często, rzucając na daszek, lub pomiędzy gałęzie, garstki okruch, czy ziarn. Lubiła snadź ptaki, a gdy po kilkogodzinnej pilnej pracy, podnosiła głowę i spoglądała na szare wróble, które, obecnością jej spłoszone, przechadzały się w poskokach po gontach daszku, i na gile, które podlatywały, pogwizdywały, lub, kołyszac się na gałęziach brzozy, jak płomyki migotały w świetle zachodu, uśmiech wesoły twarz jej oblewał i w szczególny sposób odmładzał.

Lecz więcej jeszcze, niż ptaki, lubiła ona snadź dzieci, bo często bardzo w okienku salki ukazywał się czteroletni pyzaty chłopak, ten sam, co po dziedzińcu wyprawiał głośne harce z pstrokatym kundlem, Filonem, i ukazywała się też mniejsza znacznie od niego, zupełnie malutka dziewczynka, ta sama, która, na schodkach gankowych siedząc, w miłośnym uścisku tuliła często do piersi białe, żałośnie miauczące kocię.

Dzieci te, przepędzające całe dnie letnie na dziedzińcu domu, zostawały widocznie z mieszkanką salki w stosunkach ściślejsz i czulej przyjaźni. Chłopak wdrapywał się na jej okienko, opowiadał rozgłośnie liczne i nigdy niekończące się dziecięce historye; dziewczynka siadywała na jej kolanach, i z rozkoszą widoczną przyglądała się gilom i wróblom.

Wtedy, wśród gwizdu i szczebiotu ptaków, rozlegały się głośne, liczne pocałunki. W rękach kobiety ukazywały się przysmaki przeróżne, które podawała dzieciom; we włosy dziewczynki wplatała ona barwne wstążeczki, a raz, postawiwszy ją na swych

kolanach, ubrała ją w ładną błękitną sukienkę, którą przez dni parę gorliwie szyła i haftowała, a która wywołała z piersi dziecka hałaśliwe krzyki radości. Radość ta cieszyła kobietę widocznie i niezmiernie, twarz jej cała śmiała się i jaśniała wyrazem i świeżością piérwszej młodości.

Niezawsze jednak w okienku tak wesoło było i gwarnie. Po zachodzie słońca nie ukazywały się tam ani ptaki, ani dzieci; jedne i drugie spały już we wnętrzu domwostwa. Kobieta siedziała sama jedna, wśród ram okienka swego zawieszona, jakby pomiędzy rozłożystym wierzchołkiem brzozy a niebem, po którym nad samą, zda się, głową jej, płynęły ostatnie światłości dzienne, puszyste, jaskrawe, szkarłatno-złote obłoki. Wtedy ciekawy wzrok zapuszczała ona w głąb' ulicy, widzialnej z-za płotu i niskiej bramy, i z zajęciem wyraźnym przyglądała się najliczniejszym w tej porze przechodniom; często jednak zapominała o ulicy i patrzała daleko, daleko, po przez dachy domowstw, szare i nierówne, na widniejącą za niemi łąkę, na rozległą drogę. Wtedy ogarniała ją snadź zaduma głęboka ze wspomnień może, albo trwóg, bo drobna twarz jej, różowa zwykle, bladła pod spadającym na nią mrokiem wieczora; a gdy tak siedziała nieruchoma, z grubą chmurą zmarszczek nad oczyma, w dal wpatrzonemi, wyglądała na istotę starą już, samotną i smutną.

Raz, w tej przedwieczorniej, mrocznej i cichej chwili, trzymała w ręku wielki liść akacyi i, obrywając zeń drobne, składające go listki, szeptała z wolna i głośno:

– Wróci? – nie wróci?

Ostatni listek wypadł z jęj ręki z wyrazem: „nie wróci”.

Pochyliła głowę nisko, westchnęła gęęboko i szepnęła:

– Chyba, że już nie wróci!

Innym razem, w jesieni, gdy od zamięjskiej poźółkłej łąki chłodne powiewy niosły aż ku otwartemu okienku szmaty mgły wilgotnej, a pod niebem, zamiast świetlistych, ruchliwych obłoków letnich, wisiały chmury nieruchome i deszczem nabrzmiąte, obrywała ona zwarzone zimnem listki białej astry, szepcząc:

– W głowie, w mowie, w myśli, w sercu, na kobiercu, nigdzie!

Kiedy ostatni listek wypadł z jęj ręki, wraz z wyrazem „nigdzie”, obu dłońmi twarz zakryła i płakała długo, tak długo, aż na dziedzińcu ozwał się głos mężki, gniewnie wołający:

– Teosiu! Teosiu! a czemu to okna swego nie zamykasz? Czy chcesz, aby ci wiatr szyby potłukł? Niech tłucze! ja szklarzowi płacić nie będę! zapłacisz sama!

Słowom tym zawtórował z ganku małej oficyny głosik kobiecy, dźwięczny i pieszczony, lecz który teraz, bez cienia pieszczotliwego uczucia, wołał:

– Ona, Klemensie, zaziębić się chce i żebyśmy potém, jak dwa lata temu, doktora i aptekę z jęj łaski płacili, sobie skapiąc, a ją od suchot ratując!

Płacząca kobieta porwała się z miejsca i wyprostowała w okienku szczupłą swą kibić. Rozpościerając ramiona dla zamknięcia okienka, zawołała z gniewem:

– Co macie mi wiecznie wymawiać doktora tego i tę aptekę! Albow wam jeszcze za pieniądze te nie odpracowała? Cóż to? Okna nawet w pokoju moim otworzyć nie mam prawa? Ja tu nie przybłęda jestem żadna, ale takie samo dziecko swego ojca, jak i Klemens!

Wszystko to wykrzykiwała donośnie, zaostozającym się wciąż, swarliwym głosem, a ze stukiem zamykając okienko, dodała jeszcze, ale już dla siebie tylko, i ze śmiechem rozjątrzonego szyderstwa:

– Aha! takie same dziecko! to prawda!... czternasta część!

II

Po raz pierwszy poznałam Teodorę Końcównę w parę dni po zamieszkaniu w domu jój brata, w domu tym z sześciu oknami, wychodzącymi na ulicę Kwietną, i małym okienkiem, wyrzniętym od strony dziedzińca, w salce, urządzonej na strychu.

W czarnej, wełnianej, lecz bardzo porządnie wyglądającej sukni, mała, szczupła, lecz zgrabna, zatrzymała się chwilę w progu i ogarnęła mnie naprzód spójrzeniem swych szafirowych oczu, trochę nieśmiałym, lecz bardziej ciekawym. Potem, zbliżając się ku mnie, rzekła, że przysłała w celu zabrania znajomości z lokatorką swego brata.

– Dawniej – dodała – za życia nieboszczyka ojca mego, powiedziała-bym, że pani jesteś lokatorką naszą... ale teraz... dom ten należy do mego brata... a ja?... cóż ja?... zwyczajnie czternasta część!

Zapytałam ją o znaczenie ostatnich wyrazów jój, niezrozumiałych mi z razu. Zapytanie to nietylko nie wydało się jój niedyskretnym, ale owszem, pochwyliła je w locie i z przyjemnością widoczną, jako punkt wyjścia dla długiego opowiadania i zwierzania się. Rozgadała się od razu. Znać było, że posiadała usposobienie gadatliwe, a zarazem otwarte, dobroduszne, ufne, i że mieszkańców domu brata swego uważała za naturalnych powierników swych, a może téż i usiłowała zyskać w nich dla siebie obrońców i sprzymierzeńców.

Osóbka to była skromna i nic wcale w świecie nie znacząca, lecz, jakkolwiek dziwném wydać się to komu może, osóbki takie, skromne i nic wcale nieznaczące, bywają często bardzo zajmującymi dla tych, którzy z zamiłowania i obowiązku badają ludzkie dusze i dole. Rzecz-by można, iż są to w świecie ludzkim owe drobniutkie żyjątka, których nagim okiem nie dostrzega ogół, lecz które przed wzrokiem spostrzegacza, uzbrojonym w pomocnicze narzędzia widzenia, migocą, wirują, pracują, cierpią, po swojemu marzą i budują, słowem, żyją w sposób ciekawy i ze wszechżyciem tysiącznemi węzłami złączony.

– Na imię mi Teodora, ale czternasta część, to, pani droga, drugie moje imię... Piérwsze dał mi ksiądz na chrzcie świętym, drugie, nie wiem kto... pytałam się nieraz i siebie saméj, i rozumnych ludzi, dlaczego byłam zawsze i jestem czternastą częścią; ale sama nie odgadłam i nikt mi tego nie wytłómaczył... Jedni mówią, że taki już obyczaj; drudzy, że takie prawo; a ja tylko myślę sobie zawsze, że to wielka niedola i że nie daj Boże człowiekowi, w naszym stanie szczególniej, urodzić się kobietą... Ojciec mój... nie znała pani ojca mego? pewno nie! ... ogrodnikiem on był bardzo doskonałym i pracowitym, a i człowiekiem poczciwym, niéma co mówić, bardzo poczciwym, ale srogim i... jakby to powiedzieć? serca twardego, a i ręki nie miękkiej, o! nie miękkiej wcale... Z matką nieboszczką żyli podobno w zgodzie, ale ja tego już dobrze nie pamiętam, bo miałam lat ośm, kiedy urodził się brat mój, Klemens, a wnet potem matka tak zachorowała, że z łóżka nie wstała już

nigdy, aż dopiero podnieśli ją z niego ludzie, aby znowu do trumny na wieczny spoczynek włożyć. Chorowała jednak lat z dziesięć, a ja, od ośmiu lat życia swego, i gospodynią domu, i niańką małego brata byłam. Często bywało po całych nocach przy chorój matce siedzę, a jak świt, do miasta lecieć muszę, żeby wszystkiego, czego trzeba do gospodarstwa, kupić....w deszcz ulewny, czy w mróz trzaskający... lecę, a tego tylko boję się, żeby nie zabawić długo i nie spóźnić się ze śniadaniem dla ojca, bo on codzień z rana wychodził do wielkich ogrodów, które za miastem dzierżawił i z których taki miał dochód, że plac ten kupił i dom ten zbudował wtedy, kiedy ja jeszcze w kołysce byłam. Wracam do domu, a tu matka w łóżku jęczy i narzeka, że jój wczas lekarstwa albo śniadania nie podałam; brat do szkółki, a potem i do szkoły wychodzi, przyodziać go i nakarmić trzeba; ojciec, jak w dobrym humorze, to w dobrym, ale jak w złym, to swarzy się, łaje, a czasem, ot, pani droga, zwyczajnie, jak człowiek prosty i chorowaniem żony, albo nieurodzajem w ogrodach zgryziony, i uderzy. Było mi tam wszystkiego... pracy, kłopotów, szturchańców i ponieważ różnej... ręce sobie przy kuchni parzyłam... prania dogładając, od pary i żelazek czadziałam... na wiosnę i w jesieni, robotników, w tym oto własnym ogródku, dopilnowywać musiałam; a nierzadko ojciec kazał i samój zagonik jaki skopać, lub opleć... pieszczoty nie znałam, ani odpoczynku, ani téż... pani droga... nauki! Czytać na książce do nabożeństwa nauczyła mnie matka, w łóżku leżąc... pisania i rachowania uczył trochę guwerner, co do

brata przychodził; ale takie tam było uczucie! Ojciec, bywało, mówi: chłopca mi pan pilnuj, a dziewczyna, czy tam mądra, albo nie, to jój wszystko jedno. Byle gospodynią dobrą była! To téż i niczego mnie nie nauczyli, tyle tylko, że z książki do nabożeństwa pomodlić się w kościele trochę potrafię, i oczka, albo ścięgi, w robocie policzyć. Robót różnych i szycia nauczyłam się niewiedzieć jak, tak jakoś, to ztąd, to zowąd, bo miałam do tego ochotę wielką i zdolność, a zawsze chciało mi się modniarką zostać. Ale ojciec nieboszyk mówił: po co dziewczynie rzemiosło? Za mąż pójdzie i dzieci hodować będzie! Ot, pani droga, za mąż nie poszłam jeszcze, dzieci swoich nie hoduję i rzemiosła w ręku nie mam, aby niém sobie na swój własny kawałek chleba zarobić.

Tu umilkła.

Mała, ruchliwa zwykle, jój osóbką, zeszywniała i znieruchomiła na chwilę, jakby zjęta wielkiém nad własną dolą zdumieniem. Uderzyły mnie w mowie jój wyrazy: „Nie wyszłam jeszcze za mąż”. Więc nie utraciła dotąd nadziei, iż stać się to mogło! Po chwili zaczęła znowu:

– Z bratem, pani droga, co innego było, o! zupełnie co innego. Nie pieścił go ojciec wprawdzie, bo nie do pieaszcot to był człowiek, ale dbał o niego, jak o źrenicę w oku i, jeżeli karciał, to chyba za zbytnią swawolę. Swawolnik bo był chłopiec straszny!... Kiedy ja, bywało, pracuję, haruję, i dobrego słowa od nikogo nie usłyszę; on po dniach całych, ledwie lekcją odbywszy, bąki po ulicach zbija, z kolegami psoty różne wyprawia, a gdy

przyjdzie do domu, to po to tylko, aby zjeść, wyspać się i mnie jeszcze zburzyć, jeżeli mu w czém nie dogodzę... Uczył się bo, to prawda, że się uczył. Naprzód guwerner do niego chodził, potem i sam do gimnazjum chodzić zaczął. Ojciec okrutnie chciał, żeby gimnazjum skończył i urzędnikiem był, ale Klemens, jak doszedł do czwartej klasy, tak ani rusz! W czwartej klasie dwa lata siedział i do piątej nie puścili, a dłużej już w jednej klasie siedzieć nie pozwolili. Cóż pani droga myśli, że ojciec na to powiedział? Zgryzł się z początku, ale potem ręką machnął: „Mniejsza o to! dla mężczyzny wszystkie drogi otworem. Urzędnikiem zostać nie może, rzemieślnikiem będzie”. Ja wtedy już dwadzieścia cztery lata miałam i, słysząc, jak ojciec to mówił, rzewnie, choć po cichu, zapłakałam sobie. „Mój ty Boże! – myślałam – a dla czegoż przede mną wszystkie drogi zamknięte? co ze mną kiedyś będzie?” Prawda, że był to czas, w którym ja często i gorzko płakałam, i po całych nocach, bywało, pytałam siebie: „co ze mną kiedyś będzie” A płakałam ja i pytałam się tak dlatego, że wtedy-to zgasła jedyna moja przez całe życie gwiazdeczka szczęścia. Zaświeciła i... zgasła... no, może nie na zawsze, i da Bóg, że zaświeci znowu, ale długo czekać i... ciężko!

Tu spuściła oczy i żywsze jeszcze, niż zwykle, rumieńce, twarz jej oblały; potem podnosząc na mnie spójrzenie zawstydzone, naiwne, a jednak w głębi źrenicy gorącą iskrą rozpalone, ciszej niż wprzód, wahającym się głosem ciągnęła:
– Muszę już pani wszystko opowiedzieć... tak jakoś, od

piérszego spójrzenia, zaraz przylgnęłam do pani. Nie słyszała pani nigdy o panu Laurentym Tyrkiewiczu? pewnie nie! Otóż... kiedy miałam dwadzieścia lat, poznaliśmy się z sobą i... i... w cztery lata potém... w téj tam altance, widzi pani? w ogródku? w téj altance z chmielu... raz wieczorem... nie bardzo wieczorem, o szarój godzinie... oświadczył mi się. Byliśmy po przyrzeczeniu... Pani droga! jaka ja byłam wtedy szczęśliwa! raz tylko w życiu!... Po dwóch tygodniach pan Laurenty wyjechał, żeby sobie lepszego miejsca starać się, – bo to, pani, urzędnika syn i sam urzędnikiem był, – ale prędko miał wrócić i ze mną ślub wziąć... pojechał, miejsce otrzymał doskonałe, ale jeszcze nie wrócił...

Znowu: jeszcze! Spodziewała się więc powrotu narzeczonego.

– Jakże dawno pan Tyrkiewicz opuścił Ongród? – zapytałam.

Wahała się chwilę z odpowiedzią. Widoczném było, że nienawiść do chronologii wszelkiej walczyła w niej z napadem bezgranicznój szczerości. Szczerość zwyciężyła.

– Pani droga! – szepnęła – na świętą Annę skończy się już od wyjazdu tego lat ośmnaście...

I wnet, zapominając o tém, że wygadała się już przed chwilą z ilością wiosen, które w szczęśliwój porze onój liczyła sobie, dodała:

– Ja byłam wtedy taka młodziutka.

– Sądziś więc pani, że pan Tyrkiewicz wróci jeszcze?

Spuściła znowu oczy na-pół z zawstydzieniem, na-pół ze smutkiem:

– Pewną tego nie jestem – szepnęła – ale mam nadzieję... Kiedyś – dodała – kiedyś, gdy pani opowiem wszystko, pani sama osądzi, że to tak przejść nie mogło w żaden sposób, i że on wrócić musi...

– Czy pisuje?

– Pisał do mnie z początku kilka razy, ale teraz tylko do ciotki swojej, pani Antoniowej, pisuje czasem...

I z odcieniem radosnej figlarności w spójrzeniu, szepnęła:

– Nie ożenił się!...

– Widzi pani – mówiła po chwili dalej – ja wtedy nie byłam taka, jak teraz jestem. Choć dzieciństwo w męce mi przeszło, w młodości rozkwitłam, jak róża, a dnia tego... była to niedziela... miałam na sobie białą perkalową suknię, którą sobie własnymi rękoma uszyłam i wyhaftowałam czerwoną bawełną, a włosy ubrałam w bez koralowy, którego w ogrodzie naszym moc jest wielka... Suknię tę i listki od tego bzu mam dotychczas w komodzie schowane i... jeżeli on nie wróci... poproszę, aby mi je do trumny włożyli...

Głos jój zadrżał, w oczach mignęła łza.

– Potém, pani droga, po téj jedynéj szczęśliwéj godzinie, powlokło się znowu trybem swoim ciężkie moje życie... Matka umarła... ojciec zachorował... Klemens był już wtedy zecerem i w drukarni rządowéj pracował tak, jak i teraz pracuje, a grosz swój już mając, po dniach i po nocach całych nieraz w domu nie bywał. Pracował on, to prawda, ale i odpoczynek, i zabawę miał. Bywało w cukierniach przesiaduje, w bilard grywa, na wieczorki

chodzi i do panienek umizga się... A ja z ojcem chorym jedna... Ojciec swarliwy zawsze, w chorobie zrobił się, jak ogień... a przez oszczędność sługi porządnej nigdy nie pozwolił mi wziąć, ale podlotków jakichś trzymaliśmy zawsze, tyle tylko, co do samych najgrubszych robót... Zresztą... wszystko ja... I gotuję, i piore, i krowy i ogrodu doglądam, i nocami przy chorym siedzę, i do apteki po lekarstwa latami, a w wieczory zimowe, długie takie...

Boże-ż mój, Boże!... dom jak grób... ojciec nikogo, prócz mnie, przy sobie nie znosi, leży i stęka, albo swarzy się i wyrzeka, a ja przy lampce osłoniętej siedzę i szyję... szyję... aż mi kark od nachylania, a palce od trzymania igły zdrętwieją, i po godzin kilka ust nie otworzę... Takie było życie moje, dopóki żył ojciec; ale sześć lat temu umarł on, i oto po śmierci jego właśnie dowiedziałam się, że mi na drugie imię czternasta część!

– Jakże to było?

– Oto tak: na kilka miesięcy przed śmiercią swoją, ojciec zaczął mi często swoją szczególną łaskę okazywać. Patrzy się, bywało, na mnie długo, długo, a ja widzę, że oczy jego robią się smutne i inne jakiś, niż zwykle bywały. Raz, kiedy Klemens z wieczorynki jakiś do domu przyszedł, ojciec swarzyć się zaczął, że nigdy w domu nie siedzi. „Ty tam hulasz sobie, a tu przy gospodarstwie i przy mnie chorym siostra zawsze jedna! Dziewczyna zamęczy się!” Tak mnie, pani droga, rozczuliły te słowa ojcowskie, że z płaczem do łóżka jego przypadła, i ręce jego całować zaczęła, i mówić, że nie jest to mi męką

žadną, kiedy ojca rodzzonego doglądałam. Wtedy, pani moja, ojciec mnie, pierwszy raz w życiu, za szyję objął, głowę moję do piersi swojej przycisnął, a Klemensowi powiedział: „Tylko ty mi, po śmierci mojej, siostry nie skrzywdź”. Kiedy sobie teraz tę chwilę przypominam, do oczu mi łzy idą, i z żałości, i z radości. Żal mi ojca, który, choć twardy był i srogi człowiek, wykrzyczał i wyszturczał nieraz, ale zawsze ojcem rodzonym i kochanym mi był; ale też i raduję się, gdy pomyślę, żem przecie mu dogodzić snadź potrafiła, kiedy w ostatnich dniach życia swego okazywał mi on takie ojcowskie serce, a przed samą śmiercią, i nic już mówić nie mogąc, rękę swą na głowie mojej z błogosławieństwem położył i, patrząc na twarz moję wynędzniałą od smutku, pracy i niespania, zapłakał. Klemens żałował też ojca, niema co powiedzieć, żałował bardzo! kiedy do trumny go kładli, jak bóbr płakał, i na grobie mu śliczny krzyż z blaszaną tablicą i pięknym napisem postawić kazał. Prędzej przecież łzy jego oschły, niż moje, i nic dziwnego! Całe Boże dni i wieczory na mieście przepędzając, to w pracy, to w towarzystwach, rozrywki miał i nadzieje różne, których dla mnie... nie było. Jakoż w rok potem, za ledwie żałobę zdjął, już i ożenić się zamyślił. Cieszyłam się z zamysłu tego. Brata na rękę moim wyhodowałam, on mi jeden rodzonym krewnym na świecie pozostał, szczęścia jego pragnęłam. Ale, kiedy Klemens powiedział mi, z kim chce się żenić, pani droga! ledwie nie zemdlałam! Córka modniarki! rozhukana, rozbawiona, do pracy niezwykła, a kokietka! Z początku perswadować mu zaczęłam, a

potém i gniewać się na niego za ten głupi wybór, który on zrobił. I miałam rację! O, zobaczy pani, jak tu dłużej pomieszka, kogo to on wziął sobie, i jaką to lalę wprowadził do rodzicielskiego naszego domu... Dość powiedzieć, że zaczęliśmy kłócić się z bratem. Raz w kłótni powiedział mi on: – „Jeżeli ci kobieta, którą ja za żonę biorę, nie w guście, możesz manatki swoje zabrać i iść sobie w świat!”

We mnie, na słowa te, zawrzało wszystko. „Dobrze – mówię – pójdę, ale oddaj mi to, co mi się po rodzicach należy... połowę tego, co warte domowstwo to i całe w niém gospodarstwo”. Klemens aż zaśmiał się ze złości i krzyknął: Połowę! figa ci nie połowa ojcowskiego majątku! Kobieta jesteś, siostrą, nie bratem... czternasta część należy ci się, nie zaś połowa!” „Kłamiesz – mówię – czy to nas czternaścioro było u rodziców? Dwoje nas tylko było, i ja takie samo dziecko matki i ojca naszego jak i ty!” Klemens wciąż śmiał się. „No – rzekł – idź do ludzi i pytaj się ich, kiedy mnie nie wierzysz!” Byłam na brata gniewna i rozzalona, poszłam do ludzi. Naraili mi ludzie adwokata pewnego, bardzo uczonego i uczciwego człowieka. Opowiedziałam mu rzecz całą. Wysłuchał mnie i pyta: – „Czy ojciec pani zostawił rozporządzenie jakie?” Powiedziałam, jak było. Ojciec nie myślał nigdy o robieniu testamentu. Pan adwokat uśmiechał się, kiedy mu to mówiłam. „Ojciec pani – powiedział – nie znał widać prawa spadkowego, panującego u nas, albo też, jak najczęściej bywa, mniej dbał o córkę, niż o syna. Brat pani ma słuszość. Jeżeli ojciec rozporządzenia żadnego nie zostawił,

należy się pani czternasta część spadku po nim... i niema co o tém mówić! ” Ale! niema co mówić! Ja uszom moim wierzyć nie chciałam. – „Panie drogi! – zawołałam – dlaczegoż to tak?” „Prawo jest takie” – odpowiedział. – „Panie drogi! – mówię – brat edukacją otrzymał, w szkołach był, rzemiosła korzystnego wyuczył się... a ja nic!” Pan adwokat odpowiedział mi: – „Taki to już obyczaj”. Ja znowu na to: – „Lata moje młode terałam nad choremi rodzicami i gospodarskim zachodem, dobra i dostatku w domu przysporzyłam, kiedy on bawił się sobie, hulał, a co zapracował, to na swoje własne przyjemności używał... czemuż to zawsze i wiecznie taka pomiędzy nami różnica?” Pan adwokat odpowiedział: – „Tak to już, proszę pani, świat ustanowił”. Wróciwszy do domu, cała w łzach tonęłam. Nie za tą już połową spadku łzy mi płynęły, ale niesprawiedliwość, której doznałam, sztyletem zanurzyła mi się w sercu. Srogi żal uczułam i do ojca, i do prawa, i do obyczaju, i do całego świata. Dlaczego ojciec dbał więcej o brata, niż o mnie? dlaczego téż i prawo, i obyczaj, i serce ojcowskie, i świat cały, wyznaczili mi czternastą część we wszystkim, ale to we wszystkim, i w rodzinie, i w edukacji, i w swobodzie, i w szczęściu, i w majątku? No, czternasta część, to czternasta część! niema co o tém i mówić! jak powiedział pan adwokat. Poszłam do brata i zapytałam się go, ile tam wynosi ta moja czternasta część. Powiedział, że wedle ocenienia majątności całej, zrobionego zaraz po śmierci ojca, należy mi się trzysta rubli. A kiedy mu na to śmiechem w oczy parsknęłam, i razem téż wielkim płaczem się zaniosałam, zawstydył się, czy téż

rozculił i, wzięwszy mnie za rękę, rzekł: – „Jeżeli zostaniesz przy mnie, nigdy nędzy nie zaznasz. Będziesz sobie na salce mieszkać i z nami razem jadać. Od twoich zaś trzystu rubli procent ci płacić będę... siostrą mi jesteś. Żonie przykażę, żeby dobrą dla ciebie była”. Zostałam. I cóż miałam uczynić? Drogie mi ściany rodzicielskiego domu i ogródek ten, memi rękoma skopany i zasadzony, i ta altanka z chmielu, i wszystko, na co oczy moje od dzieciństwa patrzyły, i do czego serce przyrosło... Zostałam i mieszkam na salce, do stołu braterstwa siadam, w gospodarstwie im i w hodowaniu dziątek pomagam... Zdaje się, że nie źle mi być powinno... a jednak... ot, jak pani pomieszka tu dłużej, to zobaczy, co się tu u nas dzieje... Powiem pani szczerze, dwie rzeczy tylko przy życiu mnie utrzymują: dzieciaki te braterskie, które tak samo, jak kiedyś brata, na rękę moich hoduję i – nadzieja, że jeszcze zaświeci dla mnie ta gwiazdeczka szczęścia, która kiedyś zaświeciła była, i – zgasła. Ot, taką jakąś czasem pewność mam, że jeszcze zaświeci, i czekam!

Конец ознакомительного фрагмента.

Текст предоставлен ООО «ЛитРес».

Прочитайте эту книгу целиком, [купив полную легальную версию](#) на ЛитРес.

Безопасно оплатить книгу можно банковской картой Visa, MasterCard, Maestro, со счета мобильного телефона, с платежного терминала, в салоне МТС или Связной, через PayPal, WebMoney, Яндекс.Деньги, QIWI Кошелек, бонусными картами или другим удобным Вам способом.